



Nr. 18.

1-go Maja

1913.

KLEJNOTY RODZINNE.

HUMORESKA.

Pan Wojciech Drapaczyński był sobie „dobrze się mającym”, zamożnym kupcem korzennym i „skądinąd” bardzo przyzwoitym obywatelem. Jeden miał tylko błąd — jakiemu niestety wielu naszych kupców ulega — zanadto lubił wystawność i blichtr powierzchowny, sądząc, że tym sposobem bardziej zbliży się do kół „dystygowanych”...

Jego małżonka, pani Aniela z Rozpaczekowskich, sekundowała mu z całych sił w tym kierunku. Całem jej dążeniem było stroić się w drogie fatalaszki, najpiękniejsze monstra kapeluszy, haftowane parasolki itd. itd., ażeby nie dać się zaćmić ani radczyni ani mecenasowej Rąbkowskiej, a już conajmniej tej wyniosłej strojnisi bankierowej Goldblatowej!...

Nie było to oczywiście dobrze... bo skutkiem takich niepotrzebnych, nieraz bardzo wielkich wydatków równowaga finansowa domu Drapaczyńskich chwiała się dotkliwie!... Ale...

Miedzy innemi kupiła sobie pani Drapaczyńska pewnego razu przepyszną broszkę brylantową z odpowiednią do niej parą koleczyków.

— Patrz Wojtusiu! — zawołała radośnie, wpadając do kantoru męża — patrz, co kupiłam!

Pan zachwycił się pięknym blaskiem kamieni.

— Piękne! piękne! ale skądże to masz!

— Jakto! skąd? Przecież ci mówię, że kupiłam! Wszystkie panie noszą teraz brylanty, tylko ja wyglądam między niemi jak jaka żona kancelisty... Kupiłam!

— Bój się Boga... Anielciu!... Jakże ja to zapłacę? To chyba najmniej ośmset marek kosztowało... Co mówię! może i przeszło tysiąc!

— Bądź spokojny... Już są zapłacone.

I szeptem dodała:

— Dwanaście marek! Rozumiesz? Dwanaście marek, bo to są kamienie fałszywe!

— Do czegoż to znów taka robota? — oburzył się kupiec. — Nie będziesz nosić marnych imitacji. Cóżby ludzie na to powiedzieli.

— Mój drogi! Z jubilerami się nie schodzić... a zresztą nikt inny się nie domyśli, bo nikomu przez myśl nie przejdzie, żebym ja mogła nosić fałszywe klejnoty.

Argument zdawał się słuszny, pan Wojciech więc ruszył ramionami i nie odrzekł nic; pani się zaś czuła zadowoloną i szczęśliwą, gdy w krótkim czasie mogła iść na wizytę do Trąbkowskich, ustrojona w promienne brylanty.

Jak to cudownie błyszczy! A!... Pani rzuciła jeszcze radosne spojrzenie na lustro w przedpokoju i weszła do salonu, gdzie towarzystwo zebrało się dziś liczne, jako w imieniny pani mecenasowej.

— Ach! cóż za cudowne klejnoty! — zawołała zaraz na wstępie jedna z obecnych dam. — Nie widziałam ich dotąd nigdy u pani!

— Z pewnością znów prezent od kochającego mążulka! — dorzuciła druga.

— Wcale nie! — z dobrze udaną obojętnością odparła pani Wojciechowa. — Był to stary klejnot rodzinny, leżący u nas od lat kilkudziesięciu... i jak się to łatwo domyśleć, zupełnie „wyszły” z mody. Kazałam więc brylanty modnie oprawić i chociaż ta robota kosztowała sporą sumkę, nie chciałam się pozbywać pamiątki tembardziej, że kamienie ładne! Nieprawdaż?

— Zachwycające! Wspaniałe!

Okrzyki podziwu powtarzały się bez końca, a panie otoczyły kupcową, która przeżywała jedną z najpiękniejszych chwil swojego życia...

Nawet pan Drapaczyński udawał zachwyt wraz z wszystkimi, dodając w duchu:

— No... nie można chyba żądać więcej za dwanaście marek!

I wróciwszy do domu cieszył się wspólnie z godną połowicą olbrzymiem wrażeniem, jakie wywołały w towarzystwie te klejnoty rodzinne...

Za parę dni mieli „państwo” schadzkę ze znajomymi w jednej z pierwszorzędných restauracji a pan Wojciech zwrócił z uśmiechem uwagę żony, żeby też przypadkiem nie zapomniiała wziąć swych drogocennych brylantów.

— W restauracji — mówił — przy świetle gazowem wydadzą się jeszcze lepiej!

— Ależ oczywiście! naturalnie! — odrzekła pani.

I w restauracyi znowu wszyscy obecni zachwycali się kolorowymi blaskami klejnotów rodzinnych, które na tle czarnej aksamitnej bluzki snopami iskier rzuciły dokoła...

Z restauracyi na propozycję jednego z panów poszło towarzystwo na czarną kawę do kawiarni. P. Drapaczyński zgodził się tem chętniej na ten projekt, że przecież w kawiarni spotka się znowu niezawodnie ze znajomymi, którzy w tak tani sposób nabyte kosztowności podziwiają. sprawią znowu satysfakcję małżonkom....

Przez drogę nie zauważył pan niczego... ale w kawiarni — o zgrozo!... rzuciwszy spojrzenie na łono swej połowicy nie ujrzał tam wspaniałych już blasków!

— Na miłość boską! — szepnął żonie do ucha, przestraszony naprawdę — zgubiłaś broszkę!

— Ach co za pech! — odpowiedziała, cicho dodając:

— Widzisz, co to za szczęście, że ja nie noszę prawdziwych brylantów! To byłaby dopiero rozpacz!

— Kto wie, czy to nie gorzej! — biadał mąż. Ale już i jedna z pań obecnych zauważyła zgubę.

— Ach mój Boże! Gdzież pani broszka? Czy zgubiła ją pani?

Pan zorientował się pierwszy.

— Udawajże rozpacz! — szepnął żywo do ucha żonie, której jakoś nie mogło się ani rusz pomieścić w głowie, że ma o dwanaście marek lamentować, jakby o tysiąc.

— Ach, jakież to nieprzyjemne zakończenie tak miłego wieczoru! — zauważył jeden z panów, podczas gdy Drapaczyński wytrząsał narzutkę żony i rozkładał fałdy jej sukni, szukając „drogiej“ zguby.

— Najlepiej będzie wrócić natychmiast do restauracyi! — rzekł któryś z obecnych.

— Pójdźmy obydwaj! — dorzucił do strapionego małżonka — może tam kto znalazł broszkę!

— Oho! śmiał się inny. — Chyba, że leży gdzie jeszcze pod stołem... bo jeżeli ją znalazł kto inny, to amen!... Nie odda z pewnością!

Pobiegli jednakże. Chciał pan Drapaczyński iść sam — ale nie można było odrzucić uprzejmości przyjaciela, który też natychmiast energicznie zabrał się do restauratora.

— Żona pana Drapaczyńskiego zgubiła tu broszkę brylantową. Czy tu nie oddano jej panu?

— Owszem! — odpowiedział restaurator ze złośliwym, jak się panu Drapaczyńskiemu zdawało, uśmiechem. Garson znalazł przed pół godziną brylantową broszkę.

— No, to chwała Bogu! — wykrzyknął przyjaciel — a gospodarz przyniósł natychmiast zgubę.

— Proszę! Czy to jest ta kosztowna broszka? — zapytał znów ze złośliwym grymasem.

Pan Drapaczyński szybko uchwycił klejnot, żeby się nie dostał w ręce przyjaciela i rzekł:

— Gdzież jest ten garson? Muszę mu przecież dać znaleźć!

I z ciężkiem sercem — choć z uprzejmą miną, wyciągnął stumarkówkę z pugilaresu i wręczył ją uszczęśliwionemu chłopcu.

Restaurator wobec tego zgłupiał!...

— Przecież to jednak muszą być prawdziwe brylanty! — myślał w duchu.

A przyjaciel zauważył w drodze do kawiarni — Drogi wieczór dla pana, panie Drapaczyński! ale przecież szczęście, że się broszka znalazła!

— O tak! — odrzekł pan Drapaczyński kwaśno. — Szczęście istotne, ogromne szczęście... Takie kosztowne brylanty! Już nie pozwolę odtąd mojej żonie brać ich tak na codzień!

A w duszy dołożył sobie:

— Ha! ale także już chyba nikt nie będzie po wątpiewał o prawdziwości tych brylantów... a to także warte swoich sto dwanaście marek!



POMIEDZY „SZTUBAKAMI“.

— Jak dorosnę, to zostanę lekarzem. Aha!

— A ja zostanę proboszczem i pochowam wszystkich twoich pacjentów.



PODEJRZANA UPRZEJMOŚĆ.

— Panie Karolu, gdybym umarła, poszedłbyś za moją trumną?

— O, pani, z całą przyjemnością...



ZEMSTA.

Przyjaciel: Cóż, kupiłeś sobie papugę i do tego jeszcze mówiącą? Sądzą, że żona twoja i tak już za wiele mówi!

Mąż: No, teraz przynajmniej nie przyjdzie ona czasem wcale do głosu!



„NAIWN“.

Dyrektor teatru (do artystki, która chce być zaangażowana jako „naiwna“, twierdząc, że ma lat 19):

— No, no, mnie się zdaje, że pani i mnie także uważa za „naiwnego“.



OBJAŚNIENIE.

Bartek: Co sądzisz o usiłowaniu pokojowych rosyjskiego cara? Czy i twoja żona jest za pokojem powszechnym?

Kuba: Widzisz, to bywa rozmaicie. Gdy się naprzykład pokłócimy, a jej się uda wpięć miotłę, to ja jestem za pokojem — mam ją ale wpięć miotłę w ręku, to ona znowu jest za pokojem...



Swinia znalazła perły. Nic z tego nie będzie. Nie zjem was, leżcie sobie, boć to nie żółędzie.



WIZYTA HYGIENICZNA PANA FEBRA.

W sobotę wieczorem po befele radują się chłopcy w kompanii wielce. Jutro dla nich dzień wolny. Do późna w noc układają pod deką plany jutrzejszej zabawy.

Przyszła wreszcie ta oczekiwana niedziela a z nią „cymerwizyta“. Wypadła ona nie najlepiej, bo pan lejtnant znalazł pod „sztrozakami“ brudne „szufecy“. Hygiena więc w kompanii szwankuje. Pan feber Chałaturka dostali nosa — teraz ma się to skrupić na kompanii.

Po południu chłopcy popucowani jak szlak, już mają się meldować w „ausgangs-adjustirung“ panu „tagszarzy“ i iść na miasto, gdy wtém nadbiega, ciągnąc za sobą z trzaskiem szablę, pan feber i zdała grzmi jego komenda: „Wszystko antretować!“

Wszystko staje habacht w szeregu — pan feber rozpoczyna swą przemowę:

Sluchajcie murgi! To wy sobi myślicie, że ja dla tego, że wy si nie chceci od środka pucować, tylko trocha z góry, że ja si dam dlatego pucować przez pana lajtnanta?! Żołnierz musi mieć wszystko czyste! I nos i chusteczki, i oczy i gwer, i duszy — bo taki je przepis w dynstreglama. A włosy, to także mi maci wszystkie zadługi. Co? Czy wy jesteści muzykanty, czy waryaty, czy za przeproszeniem, poety?... Ale ja wam powiadam cepy, że każdy z was będzi mi musiał być tak wyszurowany, jak podłoga w kuchni jego narzyczony albo jak „czakorosa“. Bo ja przez was ni będy cierpiał od vorgesetzte!

Po tej przemowie następuje komenda: „Vorwertsbajgen!“ Chłopcy nachylają się naprzód — końce palców dotykają szpiców nóg. Pan feber Chałaturka wyciąga każdemu koszulę i bada czyśtość tejże...

Podczas „rikwertsbajgen“ — ogląda znowu najbliższą koszuli część białizny.

Pozostają jeszcze do oglądnięcia nogi, ręce, włosy i uszy.

Przystępuje pan feber do pierwszego z rzędu i każe mu zdjąć buty. Rekrut się męczy, jakiś fatalny pech — nie może zdjąć swych komiśnych buciczków, gdyż zawiązał sobie z całej siły guza.

Jego sąsiad uzyskał już przez to czas i chowa szybko brudne, wypocone feczy do kieszeni.

Ponieważ pan feber skonstatowali u wszystkich równo brudne feczy — każe im więc robić „auf i nider“ po 25 razy.

Domyślają się teraz chłopcy, że najwyższa władza sanitarna zaglądać im jeszcze będzie i do paznokci — wyskrobują je więc na gwałt łagnetami.

Zauważyli jednak swem argusowem okiem pan feber Chałaturka to dyskretne manekierowanie paznokci. W jednej chwili zmienia też swój plan i nagle zapychając najbliższemu rękę do kieszeni, pyta go o czystą chustkę do nosa. Zamiast niej, wyciąga atoli brudną, przed chwilą tamże ukrytą „szufecę“.

Z oburzeniem rzuca ją pan feber na ziemię, ociera palce o mundur winowajcy, i rozkraczysz szeroko nogi — pyta dobroduszenie:

— Ta powiedz sam, czy ty nie świnią?...

Chłop milczy.

— Ta powiedz!... — nalega z uśmiechem matki kompanii, pan feber.

Chłop ciągle uważa za stosowne milczeć.

Dopiero gdy pan feber po raz trzeci powtarza swe pytanie, w połączeniu z poruszeniem dolnej szczęki rekruta — odzywa się tenże:

— Pani feber, melduji, posłuszni, co ja jest świnią...

— A widzisz batiaru, murgu, złodziejko nasienie — jak ty sam na siebi pyskujesz, co ty jest świnią, to co ja dopiero mam na ciebi mówić! — Przy tych słowach poprawił mu lekkim ruchem, ułożenie głowy wraz z czakiem, bo bić przy wojsku nie wolno.

PROSTE ZAŁATWIANIE SPRAWY.

Administrator do kamienicznika:

— Proszę pana, ten z trzeciego piętra dwa dni zalega za komorne. Mówi, że za trzy dni zapłaci.

— Tak? To go wyrzucić. Niech nie zalega. A ten z I-go piętra?

— O, ten płaci bardzo regularnie.

— Tak? No, to mu pan podnieś komorne.



STYL HANDLARZY BYDŁA.

Jeden z handlarzy bydła i nierogacizny w Galicyi otrzymał następujący telegram od swego kolegi z Wiednia: „Zaraza zniesiona, jutro wszystkie świny na kolej i ty także. Nie wyjeżdżaj rano, bo pociąg osobowy bydła nie zabiera. Świny idą w górę, uważaj na siebie. Jeśli potrzebujesz chudych wołów, pamiętaj o mnie“.



Ojciec (do buchhaltra): Jakiem prawem ośmieliłeś się pan uderzyć syna mego w twarz, skoro pan nie jesteś jego pryncypałem.

Buchhalter: Ale ja jestem prawa ręką pryncypała.

Czas ten wystarczył, by szufecy reszty kamratów znalazły się już za pazuchą.

Godzina piąta bije a pan feber Chałaturka prawi jeszcze ciągle o znaczeniu higieny.



SPRYTNY OJCIEC.

Młody Goliński zgłasza się do wierzyciela z oświadczeniem, że ojciec jego długu uiścić nie może, gdyż jest chory i dlatego przysyła go, aby się ułożył.

Wierzyciel: Jakież warunki proponuje mi pański ojciec?

Młody Goliński: Ojciec przysyła mnie dlatego, że, jak wiadomo, dzieci zawsze i wszędzie placą tylko połowę.



DZIECI.

— Zobacz, Helciu, czy jeszcze jest nafta w lampie.

— Nie wiele. Dla mnie samej by może jeszcze starczyła, ale czy dla nas dwóch, wątpię.



MIEDZY PRZYJACIÓLMI.

— Bój się Boga! Co ci po takiej masie czarnego jedwabiu i krepy? Nikt przecież nie umarł w rodzinie.

— Trafiło mi się kupić tanio, a mój mąż jeździ przecież automobilem, to o przypadek nie trudno.



OBJAŚNIENIE.

— Piszą w gazetach o jakichś „idiotach”, powiedz mi pan, czy to także ludzie?

— Naturalnie, że ludzie — tacy jak ja i pan...



BYŁOBY GORZEJ...

Mały Adaś płacze, bo zgubił jedną rękawiczkę, za co strofuje go matka:

— A widzisz!... Gdybyś był słuchał mej rady i zwił rękawiczki jedną w drugą, nie byłoby tego!...

— Ale byłoby jeszcze gorzej...

— Jakto gorzej!...

— Bo zgubiłbym obie...



MADRA RADA.

— Lekarz powiedział, że mi potrzeba bardzo wiele ruchu. Co pan myślisz, co w takim razie najlepiej zrobić?

— Kup pan sobie słomiany kapelusz i przechadzaj się w nim na ulicy — podczas wichury.

O PRUSAKACH I HOTENTOTACH.

Był zjazd antropologów w Berlinie. Gadali o tem, jak to się ludzkość zwolna doskonali; Jak dziś jest bardziej tliwa, niż dawnymi czasy, Kiedy w pień wycinano nieraz całe rasy.

Tylko żalił się pewien Müller wśród uczonych, Że jankesi dotychczas w Stanach Zjednoczonych Starają się „ausrotten“ lud czerwonoskóry I że się to nie zgadza z istotą kultury.

Inna rzecz ludy dzikie: tam jedynym celem, Gdyś uzyskał zwycięstwo nad nieprzyjacielem — Stawało się: wytępić do cna owo plemię.

A był tam i hotentot, który akademię Kończył w Berlinie (trafia się dziś murzyn taki).

Ten różne znał plemiona: znał, co są prusaki, I nawet był w Poznaniu. Hotentot rzekł na to:

„Zanim się napłaczecie nad indyan zatrutą, Zaczniście wpierw od siebie, czy dziś nie jesteście Gorszi, niż ludy dzikie, o których tu wieście Są fałszywe. Ja wasze znam kulturträgerstwo W Poznańskim. Afrykanów znam też ludożerstwo.

Powiem wam mianowicie, jaki nasz obyczaj, A potem każdy z was tu sam sobie obliczaj:

Kto zda się barbarzyniec, kto humanitarny, Czy prusak, uczeń Hegla, czy hotentot czarny

Hotentoci zajęli niegdyś kraj buszmanów, Jak Niemcy się rozsiedli wśród poznańskich łąnów,

Ale nazawsze żyje u nas moc wspomnienia, Że zdawna jest to ziemia buszmanów plemienia.

I do dziś, gdy są łowy — i gdy padną trupy, Antylop czyli dzików — i gdy dzielim łupy —

Buszmanom się oddaje pierwsze i najlepsze Kęsy — czy antylopie mięso, czyli wieprze.

Takie jest u nas prawo, spełniane ochotnie, Gdyż buszman był mieszkańcem tych krajów pierwot.

A przeto mu się względy należą takowe.“ [nie Tak rzecze murzyn, poczem zamyka swą mowę:

„Taką etykę mają dzikie hotentoty!

Może się kiedyś pruskiej nauczymy cnoty.

Wtedy sobie wynajdziem kulturalną misję

I kolonizacyjną stworzymy komisję —

I tak aż do ostatnich ograbim łachmanów

Tej krajiny pierwotnych mieszkańców, buszmanów.“



Z REFLEKSYI OGÓRKOWYCH

Lekarzowi, który się omyli, pozostaje przynajmniej ta pociecha, że mu za omyłkę zapłacą...



W WOJSKU

Kapral (do żołnierza): W którą stronę świąta teraz maszerujemy?

Żołnierz: Pod południe.

Kapral: Dobrze, jak to poznałeś?

Żołnierz: Bo mi coraz cieplej.

